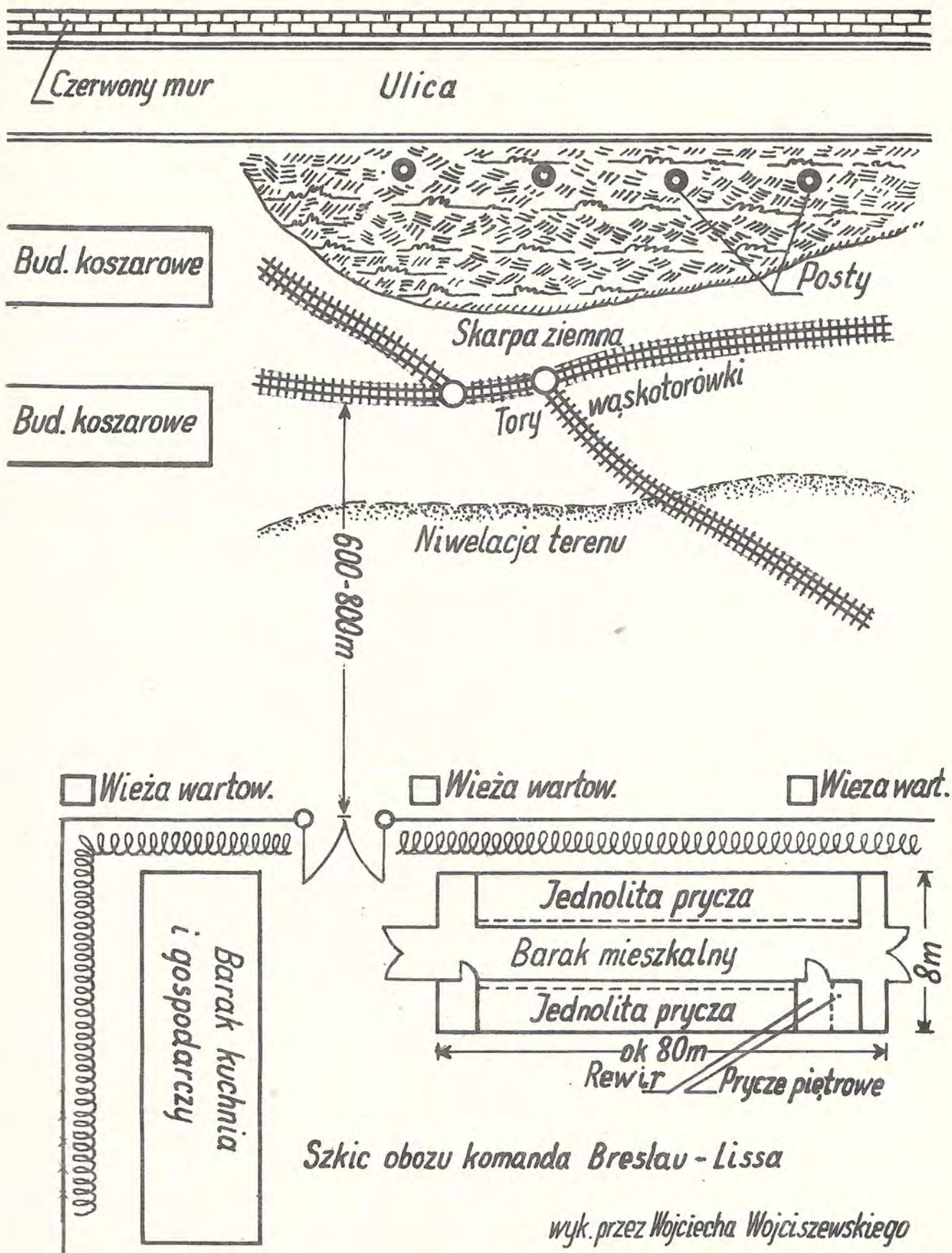




Szkic obozu komanda Breslau - Lissa

wyk. przez Wojciecha Wojciszewskiego

Nr archiwum Gross-Rosen 3.12.1.2.

Piotr Wojciech Wojciszewski
P-97646 - Auschwitz
P-77... - Gross-Rosen

W BRESLAU - LISSA

Późną jesienią 1944 roku transport więźniów z Auschwitz znalazł się na stacji kolejowej Breslau. Część odłączona z tego transportu około 300 więźniów, marszem pieszym dotarła do pobliskiego obozu Breslau-Lissa, będącego filią obozu koncentracyjnego Gross-Rosen.

Było to prawdopodobnie 24 października. Skierowano nas do dużego baraku mieszkalnego. Spaliśmy na piętrowych pryczach. Zapamiętałem kilka nazwisk współtowarzyszy, a mianowicie: Sznajder - był blokowym, Piotr Lisowski - pisarzem obozowym, ja byłem magazynierem. W tym magazynie przechowywany był głównie cement i wapno. Pamiętam, że przebywał z nami Witold Wiśniewski, Gnoiński - były wojewoda, Stefan Nelkowski, Antoni Bartolik.

Komendantem obozu był podoficer SS, który mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci w baraku obok kuchni.

Nie przypominam sobie żadnych przykrych zdarzeń, gdyż nasz blokowy i schreiber utrzymywali dobre kontakty z Komendantem obozu, a więźniowie głównie polityczni starali się utrzymać godność i przestrzegać zasady współżycia w trudnych warunkach niewoli.

W pamięci mojej zachowałem wdzięczność dla żony naszego Komendanta, która nawiązała kontakt z hodowlą lisów. Hodowla ta mieściła się w pobliżu obozu. Z tej hodowli "zorganizowała" dostawę mięsa z zabitych lisów, które było dodatkiem do zupy dla więźniów. Akcja tej zacnej kobiety spowodowała, że jedzenie nasze było znacznie lepsze od oświęcimskiego. W "organizacji" dostaw pomagali jej Sznajder i Lisowski.

Wiadomo mi że na terenie obozu grupa wojskowych i cywilnych specjalistów udoskonalała granatniki. Po wystrzeleniu pocisk pod kątem prostym od toru pocisku zmieniał kierunek lotu. Próby trwały kilka tygodni.

Nastąpiła w styczniu ewakuacja obozu. Przygotowano wymarsz pieszy do obozu centralnego Gross-Rosen. Więźniów zaprzęgnięto do 3 dużych saní załadowanych sprzętem z magazynów. Jedne sanie dla rodziny komendanta. W trudnych warunkach zimowych wyczerpani dotarliśmy do Gross-Rosen, by wkrótce wyjechać w dalszą drogę i tułaczkę do Buchenwaldu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.12.3.4.

KOMANDO BRESLAU - LISSA FILIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO GROSS - ROSEN

Breslau Lissa nigdy nie było wielkim obozem. Z charakteru wykonywanych przez więźniów prac wnioskowaliśmy, że kilkuset mężczyzn trzymano jako siłę roboczą dla koszar wojskowych, odległych od obozu o niespełna kilometr. Murowane, piętrowe bloki ustawiono jak pudełka w równych szeregach, otoczone chodnikami stanowiły jedną ścianę olbrzymiego placu ćwiczeń piechoty. Wzdłuż przeciwległego boku tego wiecznie błotnistego, rozjeżdżonego terenu wytyczono obrysy mających w niedalekiej przyszłości powstać baraków dla następnych transportów. Mimo zacieśniania się nieustannie frontów nie rezygnowano z budowy nowych obiektów pozwalających na powiększenie ilości więźniów. Trzeba było obsłużyć wojsko nieustannie ćwiczące na poligonie. Podzielono przybyłych na kolumny, każda z nich dostawała do wykonania zadanie i już przed południem ruszaliśmy do pracy.

Po świętach przyszły znowu mrozy, na wschodzie pukało jakby ciśzej niż poprzednio, komanda wychodziły do tej samej pracy i nie zapowiadało zakończenia wojny tak szybko, jakbyśmy tego pragnęli. Mijał styczeń. Jedyną rewelacją tego czasu był przyjazd dentysty, który badał stan uzębienia więźniów. Przyjmował przez cały dzień, komanda kolejno zwalniano z pracy, ustawiano w szeregach pod drzwiami ambulatorium, gdzie pracował lekarz.

Wieczorem sztabowy opowiadał, że około tysiąca zębów wyrzucił z kubków. Może trochę przesadził, ale niewiele, bo niemal każdy wychodzący z ambulatorium miał ogłupiały wyraz twarzy, trzymał się za policzek i spluwał krwawo w śnieg na placu apelowym. Lekarz rwał na dziko, bez znieczulenia wszystkie zęby dotknięte próchnicą, bez względu na to, ile pacjentowi zostawało zdrowych. Mówiono o dentystyce, że przynajmniej połowę tych zabiegów dokonywał bez użycia klestki, chwycił ząb palcami jednej ręki, uciskał dziąsło kciukiem i wskazującym palcem drugiej ręki. Wtedy nie czuło się zupełnie bólu usuwanego zęba.

Zauważyliśmy że komendant obozu nie interesował się nami w porze porannego wymarszu do pracy. Bywało tak, że nadchodził świt, a jeszcze nie gwizdano na wychodzenie z baraków. Apel trwał krótko, odwalano codzienne zajęcia byle jak, aby zbyć. Wrócono z tego koniec wojny. Tymczasem hitlerowskie plany szły w kierunku wytrwałego stawiania nowych baraków dla jakichś nieznanych jeńców, czy więźniów, którzy mieli być przywiezieni nie wiadomo skąd.

Najbardziej znienawidzoną robotą w obozie bywa dźwiganie ciężarów; okazało się jednak, że w Breslau-Lissa to zajęcie jest popłatne: deski złożone w jednym rogu placu ćwiczeń, bliżej stacji kolejowej, a budowa rozpoczynała się w przeciwległym kącie. Droga wiedzie po przekątnej i spotyka się z traktem, gdzie kursują samochody i furmanki zaopatrujące koszały. Na tej wyboistej trasie, gdy miało się szczęście, można było znaleźć różne rzeczy: kartofle, buraki, węgiel. Wszystko co spadało z trzęsących się pojazdów, było skrzętnie zbierane przez więźniów. Zdarzyło się nawet pewnego razu, że znaleziono w śniegu bochenek chleba.

Pod koniec roku czterdziestego czwartego niewielu więźniów dostawało paczki. Front objął ziemie polskie, poczta pracowała nieregularnie, nie było kontaktów z rodzinami. Ta sytuacja zmuszała do

wzmoczenia aktywności w poszukiwaniu dodatkowego jedzenia. Wyżywienie obozowe składało się w tym czasie z półlitrowej miski jarmużnowej zupy i "kuli" chleba. Kula była małą, ciężką i gliniastą kromką. Chleb fasowany w Birkenau we wspomnieniu wydawał się smaczny i pożywny w porównaniu z zakalcowatą porcją przerażająco małą, ciągle w miarę upływu tygodni zmniejszającą się. Jadano tu w bloku. Miało to zaletę nie do pogardzenia: zupa była gorąca. Kucharze-więźniowie tłumaczyli, że wysoka temperatura jest jedyną przyprawą, jaką mogą dodać do posiłku.

Źródłem wszelkiego "zarobku" okazały się koszary dostępne dla komand pracujących tam w styczności z Wehrmachtem. Żołnierze niemieccy nie potrzebowali płacić nam za usługi, jednak wielu z nich, powodowanych widocznie ludzkimi odruchami – łamiąc zakazy dowódców i gestapo oddawało resztki swoich porcji. Kiedyś jeden z więźniów wyrzeźbił dla żołnierza dwie broszki z kości wołowej czy konskiej znalezionej pod kuchnią koszarową, a Niemiec w zamian za to pozwolił zabrać z terenu koszar wszystkie pojemniki, napełnione śmieciami, konwojował ich transport na plac budowy i powrót opróżnionych puszek na stare miejsce. Przedsiębiorcze komando zdobyło skóry zeschniętego chleba, sera, słoniny. Te specjały po umyciu i wygotowaniu dały kilka misek gęstej zupy.

W grudniu mróz ścisnął ziemię, drewniaki dzwoniły na grudzie poligonu; pewnego dnia przyszedł opatulony po oczy żołnierz i zażądał kilku ludzi do rozładunku. W koszarach stały wozy naładowane pękatymi workami szatkowanych i wysuszonych na wióry cukrowych buraków. Pasza dla koni! Cokolwiek więzień bierze do rąk, bada pod kątem przydatności konsumpcyjnej. Stwierdzono, że te wióry mają bardzo przyjemny smak, jeśli się je żuje długo i wysysa słodki sok. Wróciliśmy po kilku godzinach pracy w stajni obładowani słodką sieczką. Za koszulę i w spodnie związane u dołu można wsypać kilka, nawet kilkanaście litrów suszu i wrócić tak do obozu. Od tego czasu widziało się między barakami nieustannie żujących ludzi. Zwróciło to wreszcie uwagę któregoś z esesmanów, sprawa wysypała się z wielkim hukiem, kilku więźniów postawiono pod drutami na nocną stojkę. Skończył się dopływ suszonych buraków. Komando posłano do szuflowania węgla i koksu.

Budynków koszarowych było dużo, sal i mieszkań podoficerskich na każdym piętrze bez liku, wszystkie ogrzane piecami. Niemcy chętnie korzystali z pracy więźniów i mimo wyraźnego zakazu SS wpuszczali nas z kubłami i koszami do korytarzy i pokojów. Wehrmachtowcom szybko sprzykszyło się nieskończone łożenie za plecami dźwigających, a głodny człowiek powodowany dodatkowym zmysłem potrafi wy-czuć chleb, choćby był schowany. Wystarczyło, żeby konwojent na chwilę zostawił więźnia samego w pokoju, a już ginęły kawałki chleba ułożone zwykle na długich stołach w sypialniach żołnierzy. Na ogół żołnierze tego nie dostrzegali, może udawali że nie dostrzegają – w każdym razie nie mówili nic esesmanowi, który przyprowadzał komando do koszar. Więźniowie stosowali zasadę kradzieży takiej tylko ilości, którą można było zjeść na miejscu, bo każdego dnia spodziewali się rewizji przy powrocie do obozu. Komendant jednak okazał się chytry: któregoś dnia, gdy już zaczął zapadać zmierzch i zbliżała się pora apelu przyjechał niespodziewanie do koszar i osobiście rewidował dziesięciu tragarzy węgla. Nie znalazł nic i był wyraźnie zadowolony. Feldfibel z koszar był przy tym obecny, esesman nie dostrzegł uśmiechniętego i kpiącego spojrzenia rzuconego nad jego głową w kierunku rewidowanych kiedy w przysiadzie obmacywał nogawki stojących na baczność więźniów.

Pracowali tu także szklarze-więźniowie. Ich sytuacja była lepsza, dłużej pozostawali w pomieszczeniach; na ogół żądano od nich,

żeby zdejmowali ramy okienne, wynosili je na zewnątrz, a po wstawieniu szkła zawieszali na miejscu, ale więźniowie w wielu wypadkach potrafili udowodnić konieczność wykonania reperacji w budynku. Zawsze znalazł się rozchylony zawias w futrynie i należało go umocnić, skrzywiony baskwil, który dotychczas działał bez zarzutu a właśnie teraz nie chciał się w żaden sposób odemknąć.

W stolarni koszarowej więźniowie oprócz wykonywania zasadniczej pracy wycinali różne zwierzątka z dykty, malowali je olejnymi farbami; taką płaską figurkę bez podstawki łatwo schować w kieszeni czy za koszulą na plecach.

Koledzy pracujący jako posługacze u podoficerów przemycali zabawki do koszar, przynosili w zamian chleb i papierosy.

Aż wreszcie przyszedł dzień, że nie wyszliśmy do pracy. W obozie zapanowało podniecenie. Przygotowania do ewakuacji. Tego samego dnia po południu wydano z magazynu czyste koszule, a wieczorem ku ogólnemu zdumieniu rozległ się gwizdek na trzeci w tym dniu apel. Gdyśmy wyszli z baraku, otworzyły się drzwi kuchni i wyniesiono kilka kotków z parującą zupą. Wchodziliśmy parami. W progu stały sterty misek, sztabowi chwyтали je, napełniali gęstą, pachnącą papką i podawali wchodzącym. Zupełnie nieprawdopodobna historia. Niemal dwa litry słodkiej kaszy na mleku. Nie ulegało wątpliwości: nasz pobyt w Breslau-Lissa dobiegł końca. Rozgrzani i zmęczeni jedzeniem więźniowie położyli się spać nie zdejmując ubrań. Buty zawinięte w palta tworzyły zagłówek strzeżone pilnie we śnie.

W nocy rozległy się jakieś hałasy. Na tle śniegu, pomiędzy barakami dostrzegliśmy wozy, sanie i rolwagi. Woźnice wyprzęgali konie, klęli, pomstowali, wreszcie dosiedli swoich wierzchowców i odjechali; brama zamknęła się za nimi, wszystko umilkło. Przed naszymi oknami rysowały się sylwetki wozów, których dyszle sterczyły w niebo. Zapadła znów cisza przerywana tylko szmerem rozmów prowadzonych na buksach. Domysły, przewidywania, niepokoje. Rozległo się chrapanie i stękanie śpiących ludzi. Od czasu do czasu skrzypiały drzwi do ustępu i deski prycz, po których ktoś wspinał się na swoje posłanie.

Mijała ostatnia noc w obozie, który nie miał cech obozu zagłady. Zaledwie dwóch ludzi zmarło w ciągu ostatniego miesiąca, pod barakami nie układano trupów, nie było dymiącego krematorium. Dokuczał głód i zimno, ale nie widzało się bicia tak brutalnego, jak w Birkenau. To było znośne miejsce i zdawało się, że tu już nastąpi koniec wojny, a z nim zasadnicza zmiana losu. Nawet w lagerführerze zaczęliśmy dostrzegać ludzkie cechy, choć nosił znak trupiej czaszki na czapce i prawym wyłogu kołnierza. Przyglądaliśmy się wysoko naładowanym wozom i saniom stojącym na placu apelowym. Do ich długich dyszli przymocowano sznury z pętlami. Kucharze i pracownicy magazynów, sprzętacze komendantury, ładowali góry tłumoków, plecaków, mebli, naczyń. Pod kuchnią stały sanie, do których wsypywano ziemniaki. Ustawiano worki z mąką i kotły zupy. Musiały być gorące, gdyż ludzie chwyтали je za uszy przez ścierki. Szybko narastały góry bagażu.

Podzielono więźniów na niewielkie grupy, przy czym każdej z nich przydzielono jeden pojazd. Ustawiono kilkunastu wynędzniałych mężczyzn przy każdym dyszlu, kazano założyć pasy w poprzek piersi. Otwarto bramę i zaraz potem pierwszy wóz zaprzężony w ludzi wytoczył się na drogę, za nim jak karawanem postępowała gromada więźniów wyznaczonych do pchania i jako rezerwa do zmiany w jarzmie. Po raz pierwszy dostrzegłem pogodny, niemal wesoły uśmiech na twarzy komendanta stojącego w bramie, gdy idąc w zaprzęgu mijałem go. Był starannie ogolony, jakby świąteczny. Wyglądał jak gospodarz wyprowadzający inwentarz na pastwisko.

Co parę kilometrów zmieniano "konie" w zaprzęgach i pochód włókł się noga za nogą. Nie ustawano w marszu. Szliśmy na północny zachód, podobno do Gross-Rosen. Z wolna zatarły się wszystkie uroki otaczającej nas przyrody, już w południe nikt nie zachwycał się lasem, piękną drogą i błękitnym niebem. Ogarniało nas ciężkie znużenie. Zmiana codziennego trybu życia przestała fascynować, uświadomiono sobie, że idziemy do obozu o złej sławie i zdano sobie sprawę, że warunki tam na pewno nie poprawią się w okresie likwidacji komenderówek.

Głód zaczął ostro dawać znać o sobie więźniom utrudzonym wysiłkiem przy dyszlu. Z niepokojem zaczęto oglądać się na koniec pochodu, gdzie sunęły sanie z zapasami żywności. Lagerkomendant szedł wytrwale przed pierwszym wozem, ciągnionym przez ludzi, ręce głęboko wsadził w kieszenie szynelu, nie oglądał się za siebie, a jednak czuło się, że szybkość marszu reguluje w zależności od podążających za nim "dyszlowych". Przecinaliśmy w poprzek jakieś szosy, wtedy esesmani po obu stronach przechodzących kolumn, zdejmowali erkaemy z pasów i czekali, aż całość minie skrzyżowanie. Potem doganiali swój wóz. Wszystko odbywało się w spokoju i ciszy. Nie słychać było wrzasków tak charakterystycznych dla podobnych więziennych transportów, jakby esesmani zapomnieli, że na więźnia należy krzyczeć, bić go i poniewierać. Wypełniali rozkaz: odprowadzić transport z Breslau-Lissa do Gross-Rosen. Wydano kawę, chleb i margarynę. Ledwo zdołaliśmy wypić ciepłąwą lurę i wytrzeć w śniegu miski, już pogoniono dalej.

Wozy popychane rękami więźniów skrzypiały i chwiały się na gruzie oraz korzeniach leśnego traktu. Szarość zaczęła wypełniać powietrze między drzewami, gęstniała, zmieniała kolor na siny, potem zielono-granatowy. Esesmani kilkakrotnie zatrzymywali się, oglądali jakieś mapy, kreślili po nich palcami dyskutując zaciekle, potem nakazywali przyspieszyć kroku. Zapadła zupełna ciemność rozjaśniona u dołu białą śniegu, pochód posuwał się wytrwale naprzód. Nikt nie miał odwagi zapytać konwojentów, kiedy będzie nocna przerwa. Coraz częściej zarządzano zmiany przy dyszlach i orczykach wozów i san, coraz głośniej pokrzykiwali esesmani poganiając kolumny. Im większe było zdenerwowanie konwojentów, tym większe zniechęcenie i zmęczenie ogarniało więźniów. Wozy coraz częściej teraz utykały, zatrzymywały się. Brakowało nam sił, a trzeba było chwycić za szprychy kół, stawiać na nich stopniami, żeby wyrwać wóz z jakiegoś dołu lub wepchnąć na wyniosłość. Wycieńczeni więźniowie ukrywali się w ciemności, nie chcieli zmieniać ciągnących, każdy twierdził, że przed chwilą pracował przy zaprzęgu.

Było już chyba około dziewiątej, kiedy od czoła pochodu padł rozkaz:

- W tył zwrot!

Szliśmy z powrotem. Teraz Lagerführer szedł na końcu, lecz widocznie jego całodzienny spokój się skończył. Poganiał, zabiegał z boków, krzyczał coraz głośniej i groźniej. Doszliśmy do leśnego duktu, który minęliśmy dwie godziny temu. Był to szeroki pas wyciętego lasu, gdzie pozostawiono nie wykarczowane pnie. Środkiem wily się koleiny zwykłej chłopskiej drogi omijając większe przeszkody. Po chwili znów rozległ się krzyk, tym razem z boku:

- W tył zwrot!

Rozległ się śmiech esesmanów i jakieś głośne uwagi po niemiecku. W odpowiedzi na to Lagerführer krzyknął ostro:

- Maul halten und vorwärts!

Brnęliśmy więc dalej przez porębę, chociaż tu dopiero zaczęły się poważne trudności. Nawet młodzi nie mieli już sił, a szło także wielu starych, schorowanych, muzułmanów. Rozstaw kół naszych pojaz-

dów był większy od pocharatanych kolein. Wozy chyliły się niebezpiecznie, trudno je było przeciągnąć i przepchnąć między pniami. Wreszcie jeden, wysoko naładowany runął na bok. Wysypały się tłumoki, paki i walizy. Worek wypchany czymś na twardo ugodził któregoś z więźniów, zachwiał nim i rzucił na kroczonego obok Niemca. Obydwaj mężczyźni upadli w śnieg.

Wozy i sanie skrzypiały rozpaczliwie na nieprzetartej drodze ogromnej poręby. Gdzieś w dali za drzewami przebłyskiwało wygwieżdzone niebo. Mróz powiększył się z chwilą nadejścia nocy. Ręce oparte na bokach wozów marzły i coraz trudniej było popychać kołyszący się, oporny ciężar. Coraz częściej wybuchały kłótnie między więźniami o zmianę, o nadeptywanie na stopy, o potrącanie. Zasypialiśmy idąc. Od dawna nie mieliśmy sił, a przecież wlekliśmy dalej esesmański dobytek.

Komendant niecierpliwie kręcił głową. W chwilę później wydał rozkazy: kolumna ruszyła w poprzednim szyku, doszła do niewidocznej pod śniegiem miedzy i brnęła w głębokim puchu ku czerniejącej sylwetce budynku stojącego w szczerym polu. Stodoła wielka jak hangar, okazała się jednak za mała, żeby pomieścić pięciuset mężczyzn. Słomy była znikoma ilość, a na gołym klepisku ani siedzieć ani leżeć nie można. Mróz tężał. Noc wydawała się nieskończenie długa, ciasnota nie pozwalała na jakikolwiek ruch, który by przyniósł nieco ciepła. Ludzie zmęczeni starali się spać na stojąco, wzmocnić choć trochę siły na dzień następny.

Wreszcie szary poranek, mroźny i chrzęszczący zeskorupiałym śniegiem. Mimo przewiewnych ścian w stodole było znacznie cieplej i niechętnie wykazaliśmy przez otwarte wrota. Zarządzono apel. W szeregu czekaliśmy na Lagerführera, który nocował we wsi z częścią konwoju. Patrzyliśmy w tamtą stronę. Z wielu kominów bił w niebo dym. Tam gotowano śniadanie. Tam było ciepło i przytulnie.

Zza linii horyzontu wytoczyło się słońce olbrzymie i czerwone, światło jego stawało się coraz bardziej jaskrawe.

Musimy przed nocą osiągnąć obóz. Postępi podkaszcytowani bliskością celu żądają pośpiechu, krzykiem i biciem przynaglają, wykładają złość. Zapieram nogi coraz bardziej i coraz mniej skutecznie w miękkim gruncie, postronek przerzucony na ukos przez piersi uciska tętnicę na szyi, oddech jest krótki i głośny. Przy prawej burcie wozu konwojent bije i kopie więźniów, potem skoczył do przodu, zabiegł drogę ciągnącym i po fernalsku, chamsko i wściekle tnie po głowach i twarzach. Każdemu uderzeniu towarzyszy krótki świst kabla czy pejsza i potem kszysk ugodzonego. Ktoś próbuje wytłumaczyć postępowi, że to nie przyspieszy marszu i wtedy rozlega się pierwszy w czasie tego transportu strzał. Więzień osunął się na kolana, sznury, którymi był przewiązany wyprężyły się, wóz szedł nieprzerwanie naprzód ciągnąc rannego po ziemi między przednimi kołami. Nareszcie, nie przerywając marszu, wypłatan go z upręży, wóz przetoczył się nad leżącym. Podniesiono go i wrzucono na wierzch bagażu.

Transport posuwał się bezdrożem. Wkoło pole, na horyzoncie zagajniki, po lewej stronie, równolegle biegnie pusta szosa, którą nie wolno iść. Nic się tam nie dzieje.

Brnęliśmy coraz bardziej a droga obrzeżona drzewami i rowami towarzyszyła nam ciągle, potem wygięła się w prawo prostopadle do kierunku marszu naszej kolumny. Po szerokim nasypie weszliśmy na bity trakt. Znowu ucichła wrzawa konwoju, było nam trochę łatwiej ciągnąć, wyprostowaliśmy plecy. Czoło transportu weszło między zabudowania małej osady.

Budynki murowane łączone między sobą parkanami stały bezpośrednio przy drodze, tworząc ulicę biegnącą pod górę. Stromizna zwięks-

szala się coraz bardziej, wozy nabrały wagi; oddechy ludzi znowu stały się szybsze, tchu nie wystarczało, serce biło dławiąc w gardle. Wydawało się, że droga nigdy się nie skończy tak jak nigdy nie umilknę obmierzłe "loos, loos, bowegt euch!"

Skończyło się jednak. Zobaczyliśmy przed sobą wzgórze a na jego szczycie budowlę, która robiła wrażenie twierdzy z szarego kamienia. Co prędzej uformowano z nas piątkową kolumnę. Links, links und links... Umierających, rannych, nieprzytomnych prowadziliśmy pomiędzy sobą. Tak weszliśmy do nowego obozu. Za nami, na poboczu zostały sanie, rolwagi, wozy pełne skrzynek, tobołów, mebli, worków, plecaków napełnionych esesmańskim dobytkiem.

To, co zastaliśmy przekraczało wyobrażenie wyrobione na podstawie opowiadań więźniów z Breslau-Lissa. Wielki napływ ludzi ze wszystkich komenderówek i filii spowodował tak znaczne przeludnienie i ciasnotę, że nie można było liczyć na jakikolwiek wypoczynek. Cały transport wpędzono do piwnicy pod barakiem. Było to puste pomieszczenie z małymi oknami pod sufitem i gołym klepiskiem z gliny czy betonu. Przez szereg nocy siedzieliśmy ciasno stłoczeni na tej polepie, spaliśmy oparci o barki, piersi i plecy kolegów. Miska brukwianki i kawałek niedopieczonego, ciemnego chleba. Czekaliśmy na dalszy transport.

Dni wlokły się beznadziejnie. Śmiertelność wzrosła gwałtownie. Każdego rana kilkunastu ciężko chorych odnoszono z naszej piwnicy na rewir. Byli już prawie na wykończeniu. Nikt nie interesował się ich dalszym losem po przekroczeniu bramy bloku z wielkim napisem: Krankenbau.

Nie przydzielono nas do żadnego komanda. Nie pracowaliśmy. W dzień staliśmy w szeregach przed piwnicą na nie kończących się apelach, nocami usiłowaliśmy spać. W malignie walczyliśmy po ciemku z wszami i z napierającymi ze wszystkich stron bezwładnymi ciałami uśpionych.

Pośrodku lutowej nocy rozlegał się w drzwiach piwnicy gwizdek. Wiercił w uszach, zdawało się, że jak twardy, kłujący przedmiot przenikał czaszkę i boleśnie dźgał w mózg. Cztery lub więcej mężczyzn wyganiano na plac apelowy, ustawiano w szeregi, potem rozdawano jedzenie i wpuszczano z powrotem do piwnicy.

Zjadaliśmy całą porcję żywności nie zostawiając nic na następny dzień. Najstaranniejsze ukrycie niewielkiej nawet kromki chleba kończyło się z reguły jednakowo. Rano chleba nie było. Poszkodowanym nigdy nie udało się przyłapać złodzieja.

Ustawiczne zbiórki i apele trzymały więźniów w pobliżu bloków. Do późnego wieczora miesiliśmy błoto ze śniegiem na placu między naszą piwnicą, a taką samą norą naszych sąsiadów. Było już zupełnie ciemno, kiedy po raz ostatni w tym dniu zarządzono apel. Ustawiliśmy się, jak zwykle w kolumnie dziesiątkowej. Przy świetle latarek elektrycznych pojawili się esesmani z komendantury obozu. Byli tacy sami, jak w Oświęcimiu - wrzaskliwi i groźni. Jeden z nich, wysoki, tęgim mężczyzną przemówił głośnym basem. Wtedy pozostali umilkli. Z tego co mówił, wynikało że władze obozowe znalazły jedyne i dobre rozwiązanie ulżenia doli więźniów. Podobno liczni z nich protestują przeciwko ciasnocie w barakach, narzekają, że spać nie można. Wobec tego stanu rzeczy i wobec masowego napływu nowych transportów trzeba spać na zmiany.

Od dzisiejszej nocy więźniowie podzielą się na dwie równe grupy, z nowego transportu przybędzie taka sama, trzecia część. W ten sposób ilość więźniów na jednym baraku wzrośnie o pięćdziesiąt procent, ale każdy będzie mógł spać na leżać osiem godzin na dobę. reszta spędzi pozostałą część dnia na placu apelowym.

Widzieliśmy w migotliwym świetle latarek twarze Niemców. Uśmiechali się i potakiwali z uznaniem.

Wkrótce po przemówieniu esesmana dwustu więźniów odmaszerowało do piwnicy. Było około ósmej.

Kiedy człowiek przez kilkaset nocy nie ma własnego miejsca do spania, nie ma kąta który by stworzył wrażenie przytulności i bezpieczeństwa, przestaje wierzyć w istnienie tych uczuć. Każde miejsce suche, pod dachem jest upragnione. Najmniejsza wnęką w murze osłaniająca przed wiatrem chroni tyłu więźniów, ilu zdoła się w nią wcisnąć. Niestety, wnęk i załomów w dwóch równoległych ścianach ograniczających plac apelowy nie było wiele. Wiatr gnał tym korytarzem, ludzie ustawili się plecami pod prąd i przez długie godziny wyglądali jak kamienie wrosnięte w ziemię.

Przed sennością i zimnem można się bronić ruchem, ale nie starczało sił na dreptanie, zabijanie rąk, bieganie. Na takie marnotrawstwo energii pozwala sobie młody więzień. Ci, którzy tu przewędrowali z innych obozów, wiedzieli dobrze, że każdy wysiłek zaoszczędzony, to jeszcze jedna, minimalna szansa.

Staliśmy więc nieruchomo, zbici w ciasną gromadkę. Każdy opierał się plecami o piersi sąsiada obejmując w pasie stojącego przed nim i przyciskając mocno do siebie. Wewnątrz tej gromady było zacisznie i dość ciepło. Wiatr przelatywał po głowach i chłodził, ale na to znalazła się rada. Niektórzy, bardziej sprytni przemycili jesionki mimo bardzo skrupulatnej kontroli przy wejściu do obozu. Teraz ściągał je z siebie przykrywając rozpostartym paltem głowy kilku najbliższych kolegów. Inni robili to samo i po pewnym czasie cała grupa przykryta była łachmanami. Trwaliśmy spokojnie, nieruchomo, na szmaty padał nam mokry śnieg tworząc warstwę coraz grubszą, po prostu kłoce nieokorowanego drzewa, ustawione w wielki krąg, a śnieg położył na nich białą czapę.

Pod tą pokrywą było duszno i smrodliwie. Zapach ludzi głodnych, brudnych i chorych, zaprawiony odorem parujących wilgocią szmat, razi nawet przyzwyczajonych, pierwsze wrażenie przytulności i ciepła szybko mija. Kilku więźniów wewnątrz ludzkiego tabunu przykuca i dołem między nogami tłumowi przedziera się na zewnątrz. Można wrzście zaczerpnąć świeżego powietrza i rozejrzeć się dookoła. Nic się nie zmieniło, jest ciemna noc. Nie wiadomo ile czasu upłynęło i kiedy może się zacząć rozwidniać. Ile jest jeszcze godzin do czwartej. Wydaje się że noc trwa kilkakrotnie dłużej niż zwykle, choć kończy się już luty.

Aż nagle w ciszy wieczoru, wśród deszczu kapiącego na przemian z mokrym śniegiem, rozległy się natarczywe, ostre, bezwzględne gwizdy. Atakowały obóz ze wszystkich stron. I wrzask:

- Alles rrrrraus! Zum apel antreten

Blokowi uformowali kolumny i natychmiast, bez sprawdzenia i liczenia pognali ludzkie tabuny w dół, do bramy łączącej nasze pole ze starym obozem Gross-Rosen.

- Laufschrift! Laufschrift!! -

Błoto w bramie sięgające kostek rozpryskuje się pod tysiącami nóg. Tuż obok mnie galopuje mały Leon trzymając swoje drewniaki w rękach. Biegiem wpadliśmy na plac apelowy, nakoło stoją funkcyjni tworząc kordon jak sak na ryby. W krótkim czasie ogromny tłum, gło-
wa przy głowie pokrywa jak dywan hektarowy plac. Stoimy. Noc nad nami i ciemność wokół nas. Zniknął podział na bloki i pola, zwłaszcza, że wewnątrz gromady rozpoczęły się wędrówki i tasowania. Tłum o niezmiennym, statycznym konturze przemieszcza się, krzyczy i rozmawia, domaga się informacji, której nie może otrzymać. Nikt nic nie wie. Domysły są różne. Funkcyjni z kordonu milczą jak zakłęci. Jest północ, a kilka godzin później szary, mokry i zimny świt. Poranek minął - nic się nie dzieje. Stoimy dalej. Za nami zostały

puste piwnice, które mogły być schronieniem na tę minioną noc. Po co nas wygoniono? Nie ma usprawiedliwienia dla pośpiechu, z jakim wyrzucono nas z baraków. Więźniowie sztywnieją, wstrząsani wewnętrznym dygotaniem. W dalszym ciągu nie docierają żadne wiadomości.

Późnym popołudniem, kiedy już komanda robosze starego obozu zaczęły wracać do baraków, zjawili się esesmani, natychmiast ruch funkcyjnych i krzyk. Z narożnika ludzkiego czworoboku zaczął wyciekać na drogę ciasny dwuszeręg.

- Po chleb! Po chleb!

I rzeczywiście, każdy dostał bochenek, kawał końskiej kiełbasy oraz ostrzeżenie:

- jedziesz w transporcie. Żarcia nie będzie, aż na nowym miejscu, za dwa dni.

Następną noc spędziliśmy pod gołym niebem na bocznicach kolejowej w oczekiwaniu na wagony, które miały nas zabrać. Wzdłuż torów gospodarni Niemcy ustawili równe sześciorydne drewniane podkłady kolejowych. Rozwlekliśmy te podkłady, siadaliśmy na nich, wielu zapadło w niespokojny sen. A tymczasem wokół dążyła się sprawa doniosła. Narastał z godziny na godzinę łoskot, powietrze grzmiało i huczało. Łuna widziana dotychczas jako wąski pasek rozświetlony różowo tuż nad horyzontem, teraz urosła i sięgała niemal zenitu mieniąc się barwami coraz bardziej jaskrawymi. Przelatywały na tym tle jasne smugi ognia skosem od linii horyzontu, na zachód i na północ. Wiedzieliśmy, że w tym kierunku może strzelać tylko jedna armia: Czerwona. Nas wywiozą również w tamtą stronę. A więc wyścig z frontem? Ucieczkę przed wyzwoleniem, którego pragniemy. Jak daleko może być do pozycji radzieckiej i polskiej artylerii, skoro widać gołym okiem ogień z luf armatnich?

Mróz zmiekkł, można spać siedząc w kucki na podkładzie kolejowym, przyciskając piersiami do kolan chleb wetknięty za koszulę. Ręka spoczywa stale na napoczętym bochenku, palce wbrew rozsądkowi uszczypują po odrobinie i niosą do ust. Czy tylko nie ubyło tego chleba zbyt wiele zanim transport ruszy w drogę.

Z ciężkiego snu budzi przerażający gwizd lokomotywy, która przetacza się w niebezpiecznej bliskości, zwalnia, hamuje zgrzytając żelastwem i buchając nadmiarem pary. Wlecze za sobą długi sznur wagonów. Ale niestety, widzimy z rozpaczą, że nie są to wagony osobowe ani nawet bydłowe. Są to otwarte platformy z niskimi burtami. Jest tych lorów dużo, ale nie wiadomo po ilu więźniów ma się na nie ładować. Esesmani i funkcyjni popędzają bez ładu i składu, krzycząc w ciemności. Tumult i szarpanina. Tłum runął ku pociągowi, oblepił wagony. Najlepszym miejscem jest kąt lory, więc o kąty rozgorzała walka. Ludzie są zbyt chorzy, wyczerpani i senni, aby wykazywać długotrwałe podniecenie faktem, iż rozpoczyna się nowy etap obozowego życia.

Wkrótce zapada cisza, przerywana regularnym sapaniem lokomotywy, jednostajnym pomrukiem frontu i nawoływaniem eskorty ładującej swoje manele.

Alles fertig! Ab!

I pojechaliśmy na zachód.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.12.3.3.

Fragmenty z książki Witolda Wiśniewskiego "Otwierają się bramy obozów" Wyd.Książka i Wiedza - 1981

FILIA OBOZU GROSS - ROSEN BOLKENHAIN
/ BOLKÓW WOJ. JELENIOGÓRSKIE/

Filia powstała w końcu sierpnia 1944 r. Grupa, w której się znajdowałem, przybyła tam z Gross-Rosen. Byliśmy jedynym transportem do tego obozu. Przed nami - o ile mi wiadomo - nie było innych więźniów.

Obóz usytuowano na przedmieściu Bolkowa /pełna nazwa Aussenkommando - Bolkenhain, Kreis Jauer bei Liegnitz/, na niewielkim wzgórzu. W pobliżu nie było zabudowań mieszkalnych ludności cywilnej. Poza ogrodzeniem znajdowała się komenda obozu, kuchnia i wartownia, a w pewnej odległości od naszego obozu - bloki dla cywilnych robotników pracujących na robotach przymusowych. Mówiono że byli to Polacy i Rosjanie, ale bezpośrednich kontaktów z nimi nie mieliśmy. Głównym celem utworzenia filii, sądząc po rodzaju zatrudnienia, było wykorzystanie siły roboczej więźniów w miejscowych zakładach pracujących dla przemysłu zbrojeniowego: "Vereinigte Deutsche Maschinenwerke GMBH".

Więźniów było po przybyciu do filii około 600 - 700, w tym: ok. 200 - 250 Żydów z Polski, ok. 400 - 450 Żydów węgierskich, 2-ch Polaków - kucharz i bodajże dentysta oraz 1 Niemiec Lagerältester.

Załoga SS liczyła - jak mi się wydaje - kilkanaście osób. Komendantem obozu był Scharführer lub Oberscharführer SS w wieku ok. 35 lat. Cała pozostała załoga SS była w wieku średnim i starszym, nawet do ok. 50 - 60 lat. O ile mi wiadomo, nie było wśród więźniów tej filii uczestników Ruchu Oporu. Więźniowie filii prawie wszyscy byli pochodzenia żydowskiego, reprezentowali niemal wszystkie środowiska społeczne. Więźniów młodocianych, tj. w wieku poniżej 18 lat, nie przypominam sobie. Liczną grupę stanowili ludzie młodzi w wieku ok. 20 lat.

Wystarczającym dla Niemców powodem osadzenia w obozie było m.in. żydowskie pochodzenie. "Oznakowanie tych więźniów stanowiły - oprócz numeru dwa nałożone na siebie trójkąty tworzące razem gwiazdę, jeden koloru czerwonego, a drugi koloru żółtego.

O rodzajach domniemanych lub rzeczywistych przestępstw pozostałych więźniów świadczyły kolory ich trójkątów. Z dwóch Polaków noszących literę "P" jeden miał trójkąt koloru czerwonego, oznaczający więźnia politycznego, a drugi, kucharz jak pamiętam - koloru zielonego, oznaczający przestępstwa pospolite. Jedyny w filii więzień Niemiec miał również trójkąt koloru zielonego. W okresie niespełna półrocznego istnienia tej filii nie było żadnych uzupełnień "Zugangów". Stan ilościowy ulegał systematycznemu zmniejszaniu. Danych cyfrowych nie potrafię niestety podać.

Wydało mi się, że śmiertelność przekraczała 20 - 25 procent stanu obozu. Nagie zwłoki więźniów, zmarłych głównie na skutek głodu, wycieńczenia i bicia, przechowywano w specjalnym do tego celu wybetonowanym prostokątnym dole, znajdującym się obok bramy wyjściowej obozu. Stamtąd w odstępach kilkudniowych wywożono je do Gross-Rosen.

Trudno mi jest w kilku słowach scharakteryzować współżycie międzyludzkie więźniów "Bolkenhain", gdyż więźniowie przybyli z kilku

różnych obozów i w ciągu kilku miesięcy nie zdążyli się jeszcze zżyć. W pewnym sensie istniały dwa środowiska polskie i węgierskie. Jak w każdej społeczności, było wiele faktów będących świadectwem więźniarskiej solidarności i pomocy wzajemnej, lecz zdarzały się także fakty nieludzkiego odnoszenia się, głównie ze strony więźniów funkcyjnych.

Więźniów funkcyjnych podzielił bym na dwie grupy. Jedni - to zatrudnieni na terenie obozu, jak: lekarze, szewc, krawiec, kucharz, pisarz, goniec. Nie mogę podać faktów niewłaściwego zachowania się tych ludzi wobec współwięźniów. Niestety żadnych nazwisk nie pamiętam. Jeden z nich, lekarz dentysta, Polak pochodzący z Krakowa, gdzie po wojnie zamieszkiwał przy ul. Dietla /tam się z nim po wojnie widziałem/, był człowiekiem, który pozostał w mojej pamięci jako jednostka bardzo pozytywna. Drugą grupę więźniów funkcyjnych stanowili: starsi sal - Stubendienst, kapo - w zdecydowanej większości zachowywujący się niewłaściwie a nawet nieludzko. Nazwisk nie pamiętam. Do najgorszych należał tzw. oberkapo, mój rówieśnik, w wieku wówczas 20 - 21 lat, nazwiskiem Hans Glücksmann, polski Żyd, pochodzący z Katowic, znający bardzo dobrze język niemiecki. Przez kilka miesięcy pełnienia przez niego funkcji oberkapo wyróżniał się głównie biciem i ma on na sumieniu wielu więźniów. Wojnę przeżył. Wyzwolony został w Buchenwaldzie, gdzie został rozpoznany i przez Amerykanów zabrany. Dalsze jego losy nie są mi znane.

Jeden kapo nazywał się Praszkiel /lub bardzo podobnie/, wówczas dwudziestokilkuletni człowiek, pochodzący z Wolbromia. Jak na warunki obozowe należał on do ludzi raczej dobrych i nieraz pomagał pośrednio więźniom.

Do ludzi kulturalnych i bardzo wobec więźniów uczynnych należał kapo Feuerstein /imienia nie znam/, z zawodu inżynier chemik czy fizyk, pochodzący z Krakowa. Funkcję kapo pełnił przez krótki czas, bodajże 2 - 3 tygodnie, po czym za jakieś przewinienie otrzymał na apelu karę chłosty i został "zdegradowany" przez Lagerführera. Widziałem go w 1945 r. w Buchenwaldzie już po wyzwoleniu, w mundurze z naszywką UNRA. Podobno obecnie mieszka w Norwegii.

Jednym z kapów był niejaki Hauser, szewc z Krakowa, wówczas w wieku ok. 30 lat. Był typem ograniczonym, o brutalnym zachowaniu. Po wojnie widziałem go w Krakowie. Z Polski potem wyjechał.

Z innych kapo pamiętam Węgra, imieniem Zoli, wówczas dwudziestokilkuletniego człowieka, będącego postrachem więźniów, których bił i szykanował. Losy jego nie są mi znane. Nie wykluczam, że on był tym właśnie, który został drogą samosądu przez współwięźniów zlinchowany po przyjeździe do Buchenwaldu. /Fakty takie miały miejsce/.

Blokowi /"Blockälteste"/. Z tych pamiętam tylko jednego, niejakiego Glücksmanna, z zawodu malarza pokojowego z Krakowa, uprzednio przebywającego ze mną w obozie w Stalowej Woli. Nie mogę o nim nic dobrego powiedzieć, przynajmniej w okresie pobytu w Bolkenhain.

Więźniowie mieszkali w trzech parterowych barakach. Czwarty barak stanowił "rewir" oraz warsztaty: krawiecki i szewski. Piąty barak, murowany, mieścił łaźnię i latryny. W każdym baraku było kilka kilkadziesiąt-osobowych izb mieszkalnych. Wyposażenie tych izb stanowiły piętrowe łóżka, kilka taboretów i szafek oraz okrągły piecyk żelazny. Wody bieżącej w barakach nie było.

Warunki higieniczno-sanitarne były bardzo złe. Umywalnie znajdowały się w oddzielnym baraku. Nie było więc mowy o korzystaniu z nich przed pójściem do pracy, czy wieczorem. Decydowała tu nie tylko bardzo mała ilość kranów oraz zimna woda, ale głównie brak cza-

su i nieustanne poganianie więźniów. Raz w tygodniu odbywała się tzw. "kąpiel". Wówczas do kilku murowanych "korytek" o wymiarach ca 1,5 x 0,4 m i wysokości ok. 0,5 m nalewano ciepłej wody, do której wchodziło jednocześnie czterech więźniów. Należało się umyć, co jednak z powodu ciasnoty nie było możliwe. Kąpiel odbywała się pod nadzorem kapo i w "odpowiednim" tempie. Każdy wychodził po tej "kąpeli" nieco zmoczony, o umyciu nie mogło być mowy. Wodę w korytkach zmieniano bardzo rzadko. W kolejce do umywalni stało się nago na zewnątrz umywalni. niezależnie od pory roku.

Cały obóz był bardzo zaszczony. Niewiele tu zmieniała jedna przez cały okres dezynfekcja /Entlausung/.

Opiekę lekarską sprawowało - o ile pamiętam - dwóch lekarzy więźniów, nie dysponując środkami leczniczymi. Na terenie filii znajdowała się izba chorych - zwana "rewirem". Nie byłem nigdy pacjentem "rewiru", przeto nie wiem prawie nic o jego funkcjonowaniu. Pamiętam tylko, że baliśmy się tam dostać. Wyżywienie składało się z 3-ch posiłków dziennie. Rano po apelu, ok. godziny 5.30 otrzymywaliśmy letni napój /wodnista zupa/, na obiad - zupę na terenie zakładu pracy i wieczorem ok. godziny 20.00 - kolacja w postaci porcji chleba, czasem z margaryną lub melasą i do tego zupa lub kilka kartofli w łupinach. W przypadku pracy na zmianę nocną /co drugi tydzień/ zupę obiadową otrzymywaliśmy na terenie obozu, co niestety przerywało sen na 1-2 godziny i o północy w zakładzie pracy otrzymywaliśmy zupę. Racje żywnościowe były głodowe. Odzież składała się z bielizny, skarpet, płaszcza, beretu i ubrania /pasiaki/ oraz drewniaków. Wyposażenie osobiste obejmowało aluminiową miskę i łyżkę oraz ręcznik. Nie pamiętam, abyśmy posiadali nadto inne wyposażenie osobiste. Reżim obozowy był bardzo surowy. Budzenie na apele poranne odbywało się równocześnie z gongiem. Wypadali wtedy do sal funkcyjni i zapalając światła biciem zganiaли z łóżek. Z tego powodu początkowo dla uniknięcia bicia spaliśmy w ubraniach. Później organizowaliśmy sami budzenie przed pobudką, aby na głos gongu natychmiast wybiegać już w ubraniu na apel.

Apele trwały godzinę lub dłużej. Oprócz przeliczenia więźniów, były one okazją do szykan ze strony Lagerführera, obelg i publicznego wymierzania kary chłosty, a nieraz i do rozstrzeliwań. "Dyscyplinarne obliczanie" więźniów odbywało się najczęściej przy apelach wieczornych. Działalności kulturalno-oświatowej jak i politycznej lub konspiracyjnej nie było, przynajmniej mnie nic na ten temat nie było wiadomo. Na ironię, zorganizowaną przez SS formą działalności k.o. była nauka śpiewu. W drodze do i z pracy śpiewaliśmy wyuczone piosenki niemieckie, jak np:

" Die Juden ziehen dahin,daher,
Sie ziehen durchs Rote Meer,
Die Wellen schlagen zu,
Die Welt hat Ruh." itd.

Tekst oczywiście był dobrany "odpowiednio" dla więźniów pochodzenia żydowskiego.

Niemal cały obóz, oprócz funkcyjnych i - o ile pamiętam - niezbyt liczego "Aussenkommando" zajmującego się budową drogi, zatrudniony był we wspomnianych już miejscowych zakładach metalowych. Pracowaliśmy na dwie zmiany, po 12 godzin każda, z przerwą obiadową. Wszyscy pracowali w fabryce przy obsłudze maszyn do obróbki metali, głównie przy tokarkach, wiertarkach, frezarkach, szlifierkach, produkując różne detale, podlegające dalszemu montowaniu na innych halach, gdzie więźniowie nie byli dopuszczani do pracy. Przed nami przy tych maszynach pracowali francuscy jeńcy wojenni, którzy przez kilka początkowych dni przyuczali nas do obsługi prze-

kazywanych nam maszyn. Już w Gross-Rosen typowano do Bolkenhain zawodowych metalowców, znających ten fach.

Bramy wyjściowe z hali były pilnowane przez posterunki SS. Na hali dozorowani byliśmy przez cywilnych pracowników dozoru technicznego, niemieckich ustawiaczy i majstrów.

Rozpoczynając i kończąc pracę, odbijaliśmy na hali karty zegarowe, stanowiące - jak sądzię podstawę do rozliczeń między zakładem zatrudniającym, a komendą obozu. Norm pracy sobie nie przypominam. Trzeba było po prostu cały czas pracować, nad czym czuwał już dozór hali. Dla zapobieżenia zbyt długim pobytom w ubikacji, wydzielonej dla nas, od czasu do czasu byliśmy z góry polewani wodą. Zajmowali się tam również SS-mani.

W okresie kilkumiesięcznego pobytu w tym obozie kilkakrotnie wynagradzano nas bonami obozowymi /wysokości nie pamiętam/, za które można było otrzymać pastę rybną, surową brukiew lub kalarepę i po kilka papierosów "Haudegen". Pewnego rodzaju formą premii od zakładu za pracę były również żetony, wydawane przez mistrzów niektórym więźniom. Za te żetony otrzymywało się porcję zupy, znacznie smaczniejszej niż obozowa. Były to najprawdopodobniej zlewki z niemieckiej stołówki zakładowej.

Systemy karania za złą pracę - jako takie nie istniały. Spordycznie zdarzały się przypadki uderzenia więźnia przez Niemców z dozoru technicznego, jako kara doraźna, wymierzona więźniom za zrobienie braku czy zniszczone narzędzia. Rozliczne kary były natomiast stosowane na terenie obozu, ale nie przypominam sobie, by miały one związek z pracą. Faktów sabotowania pracy nie znam, aczkolwiek nie mogę tego wykluczyć. Pracowaliśmy tyle, ile było konieczne, aby uniknąć szykan. Faktów represji, które można by odnieść do sabotażu, nie znam.

Współpraca z cywilnymi pracownikami niemieckimi miała charakter ściśle służbowy. Pod surowymi rygorami nie wolno nam było prowadzić rozmów prywatnych. Na hali wisiały napisy informujące Niemców, że zatrudnieni więźniowie są "deutschfeindlich" i nie wolno z nimi prowadzić prywatnych rozmów. Z innymi narodowościami nie stykaliśmy się.

Z filii Bolkenhain nie było żadnych ucieczek, bo dokąd mógł pójść uciekinier narodowości żydowskiej "oznakowany" i ostrzyżony z wygolonym pasem przez środek głowy, zwanym "Fluchtstreife", w terenie zamieszkałym przez ludność niemiecką? Rozmowy na ten temat były czasami prowadzone, ale nikt nie widział realnych szans powodzenia ucieczki.

Przejawów szykan i sadyzmu ze strony SS można by wymienić wiele. Przykładem tego mogą być opisane wyżej "kąpiele" i długotrwałe apele na deszczu, mrozie i wietrze, czy obowiązek "zdawania" przez każdą szklanki, w której zbierano wszy, jako dowodu starań ze strony więźniów, że we własnym zakresie likwidują wszawicę. Obowiązek ten był bardzo dokuczliwy, gdyż po nocnej zmianie nie wolno było udać się na spoczynek tak długo dopóki Lagerältester nie otrzymał tej szklanki od sztabowego.

Ponieważ tego rodzaju odwszawanie nie dawało wyników, Lagerältester zarządził kontrolę stopnia zaważenia, od czego uzależniał przeprowadzenie "Entlausung". Kontrola ta odbywała się po powrocie z dziennej zmiany. Staliśmy całą noc na placu apelowym, oczekując na wejście do "rewiru", gdzie lekarze obozowi liczyli wszy u każdego, a pisarz obozowy robił ich zestawienie. Efektem tego była oczywiście dezynfekcja, która faktycznie niewiele pomogła.

Po nieprzespanej nocy z powodu dezynfekcji kilku więźniów zemdlało w fabryce i ktoś poinformował majstrów o przyczynach niskiej w tym dniu wydajności. Za udzielenie tej informacji zostaliśmy w

kolejnym tygodniu ukarani w obozie po pracy na nocnej zmianie, kiedy po apelu na polecenie Lagerführera na placu apelowym przez kilka godzin przebywaliśmy w pozycji tzw. "żabki" z rękami do góry. Lagerführer powiedział przy tym, że jeśli chcemy znać przyczynę tej kary, to przypomina, że rozmowy prywatne są niedozwolone.

Kiedys za kradzież garści pokrojonej surowej marchwi z kuchni podczas przynoszeniu kotłów z zupą do obozu, Lagerführer zastrzelił na apelu jednego z więźniów. Należy podkreślić cynizm Lagerführera, który wygłosił dłuższą "pogadankę" na temat koleżeńskości w warunkach wojny, określając czyn naszego kolegi jako niekoleżeński, zasługujący w warunkach wojny tylko na karę śmierci. Więźniowie byli zmuszeni to na jego życzenie powtórzyć. Jednego więźnia zmusił biciem do "wydania wyroku" śmierci na kolegę. Wówczas oświadczył, że zgodnie z decyzją kolegów złodziej zostanie skazany na śmierć i kazał mu iść na druty. Gdy ten doszedł do linii drutów i nie chciał pójść dalej, osobiście go zastrzelił.

Załoga SS uzbrojona była w pistolety maszynowe. W budkach wartowniczych były karabiny maszynowe. Psów do służby wartowniczej załoga SS nie używała w tym obozie.

Filia Bolkenhain została zlikwidowana około 14 lutego 1945 r. Wszyscy zdolni do marszu więźniowie wyszli pieszo do Jeleniej Góry. Co się stało z chorymi na rewirze, nie wiem. Ilość ewakuowanych wynosiła ok. 500 ludzi. Eskortowała nas "nasza" załoga SS pieszo i Lagerführer jadący konno. Droga trwała dwa dni. Nocowaliśmy w jakiejś szopie czy stodole. Drugiego dnia marszu dotarliśmy wieczorem do filii Gross-Rosen w Jeleniej Górze, liczącej również ok. 600 więźniów. Po kilku dniach pobytu ruszyliśmy w dalszą drogę, trwającą dalsze dwa dni. Kolumna tym razem liczyła ponad 1000 więźniów. Załoga SS była odpowiednio większa. Trasa wiodła z Jeleniej Góry przez Szklarską Porębę do miejscowości Rottenburg czy Rottenberg na terenie Czechosłowacji. Tam zostaliśmy załadowani do otwartych wagonów towarowych. Było to 28 lutego albo 1 lub 2 marca 1945 r.

W jednym wagonie umieszczono po 65 więźniów. W narożniku wagonu zostawiono miejsce wolne, które później zajął SS-man. Schodził on z wagonu tylko podczas nalotów i w czasie zmiany warty.

Podczas dwudniowego marszu z Jeleniej Góry nocowaliśmy w tartaku. Z przyjemnością zagrzebaliśmy się w trocinach, które pozwoliły nam się trochę rozgrzać i osuszyć. Sam marsz odbywał się chyba według wszędzie stosowanych reguł ewakuacji. Słabnący i zostający z tyłu, których koledzy nie mogli już nieść, byli na miejscu rozstrzeliwani, a zwłoki ich spychano do przydrożnych rowów. W ciągu tych dwóch dni zamordowano w ten sposób ok. 100 więźniów. Przed wyjściem z Jeleniej Góry otrzymaliśmy po całym bochenku chleba, który - jak nam oświadczone - musi starczyć na 3 dni drogi. Faktycznie musiał on starczyć na 7 dni, gdyż 2 dni jechaliśmy pieszo, a kolejne 5 dni jechaliśmy pociągiem do Buchenwaldu, nie otrzymując w tym czasie dosłownie nic do jedzenia ani picia. Głód i zimno były bezpośrednim powodem śmierci blisko połowy transportowanych więźniów. W moim wagonie było ponad dwadzieścia trupów. Ja sam zostałem w Buchenwaldzie wyniesiony, gdyż o własnych siłach nie mogłem zejść z wagonu. Było to prawdopodobnie 7 marca 1945 r.

Wyzwolenie więźniów w Buchenwaldzie nastąpiło w dniu 11.IV.1945r.

Niestety tu nie jestem w stanie wiele podać, gdyż minione 35 lat zatarło wiele faktów w mojej pamięci zwłaszcza, że z kolegami z obozu nie spotykałem się po wojnie prawie w ogóle. Byłem wówczas młodym 20-letnim człowiekiem i nie znałem wielu ludzi z nazwiska. Po wojenne losy tych, którzy przeżyli, nie są mi znane. Po wojnie wróciłem na stałe do Krakowa, skąd większość z nas pochodziła.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.27.3.2.

Z RADOGOSZCZA - GROSS-ROSEN - ASLAU DO WOLNOŚCI

Dnia 18 lub 20 sierpnia w czasie śniadania zarządzono nagły apel przed 10-tym blokiem. Na apelu tym wyczytano około 120 osób między innymi i moje nazwisko. Ustawiono nas czwórkami i poprowadzono na stację kolejową i załadowano do bydłych wagonów. Podróż trwała trzy dni i w międzyczasie staliśmy na bocznych torach, a docelowy nasz etap to był obóz położony w lesie o nazwie "Aslau" z podobną bramą jak w Gross-Rosen i tym samym sloganem "Arbeit Mach Frei".

Na placu apelowym po ustawieniu w dwuszerogu i odliczeniu przed Lagerführerem przeszliśmy pod komando blokowego, który był ukraińcem albo rosjaninem /w obozie tym było wielu jeńców wojennych/, który doprowadził nas pod fryzjera gdzie skrócono nam włosy do wysokości 1 cm, a przez środek głowy pasek szerokości maszyny zerowej. Po fryzjerze i umyciu się otrzymaliśmy pasiaki oraz do przyszywania na marynarce i spodniach numery obozowe zrobione na materiałach. Ja otrzymałem ten sam numer co w Gross-Rosen 6637 z czerwonym winklem, a na piersiach miałem tabliczkę metalową z tym samym numerem. Dano nam też koszule i przed włożeniem kazano nam szukać w tej koszuli wszy. Za każdą znalezioną wesz obiecywano pół bochenka chleba, lecz nie było wypadku by ktoś znalazł tam wesz. Po tym wszystkim podzielono nas na grupy. Grupę w której ja byłem, blokowy zaprowadził do bloku Nr 1. Następnego dnia po zbiórce na placu apelowym i zjedzeniu śniadania /zupa z brukwi i kawałek chleba/ zaczęto rozdzielać pracę. Mnie przypadło ogrodzenie drutem kolczastym do wysokości 3-ch metrów, teren od strony baraków esesmańskich oraz na całej długości ogrodzenie od strony lasu. Przy ogrodzeniu pracowałem do 2 września. Dnia 3 września ze względu na mój stan zdrowia /nieżyt jelit/, tak orzekł nasz obozowy lekarz /polak z okolic Gdańska/ o czym zgłosił do Lagerführera i ten zezwolił na skierowanie mnie na rewir /izba chorych - krank stube blok Nr 4./ Na izbie chorych leżałem do 7 września. W tym czasie leczono mnie różnie lecz nic mi nie pomagało. Jeden z odwiedzających innego leżącego w izbie przyniósł mi łyżkę soli kuchennej i proszek utarty z kości, który po zażyciu miał mi pomóc. Po zażyciu tego pseudo-lekarstwa jeszcze bardziej się rozchorowałem. Nie wiem dlaczego, ale ten niby dobroczyńca zawiadomił o tym Lagerführera, który 8 września nakazał lekarzowi usunięcie mnie z rewiru mimo mego złego stanu zdrowia i przenieść do bloku Nr 1. W dalszym ciągu miałem silną biegunkę i większość czasu przesiadywałem w ubikacji, która była na końcu placu. Wieczorem zabroniono do ubikacji się udawać ponieważ 3-ch obozowiczów uciekło po przecięciu drutu w płocie. Z tego powodu władze obozowe zarządziły ustawienie przed każdym blokiem beczki, która służyła do celów fizjologicznych dla załatwiających się w nocy. Wskutek nasilającej się mojej choroby byłem zmuszony wiele razy korzystać z tych beczek w nocy. Był wypadek, że wskutek mojego silnego osłabienia, podczas korzystania z beczki, wpadłem do jej wnętrza i na mój krzyk przybiegli dwaj dyżurujący koledzy, którzy mnie z tej opresji wyratowali. Opłukali mnie wodą i siedziałem przy piecu do rana ażeby wyschła na mnie odzież. Rano na placu

apelowym podczas obchodu Lagerführera z wycieńczenia upadkiem. Na skutek tego wypadku, po rozmowie Lagerführera z lekarzem skierowano mnie ponownie na rewir, gdzie przeleżałem 37 dni tj. do dnia 7 października i wypisano mnie do bloku Nr 1.

Dnia 8 października wcielono mnie do komanda, który pracował około 1,5 km od obozu w fabryce gdzie produkowano kadłuby samolotów. Do fabryki do pracy i z pracy byliśmy eskortowani przez esesmanów. Pracę rozpoczynaliśmy o 6.00 rano i pracowaliśmy do godziny 16.00. Po powrocie z pracy przejmowali nas blokowi, którzy po przeliczeniu nas na placu apelowym wyczytywali i kazali wystąpić z szeregu tym, którzy rzekomo coś przewinili aby ich ukarać. Przewinienia to były takie: nieposłuszeństwo, źle posłane łóżko itp. Jako kary stosowano - skakanie żabką, bicie jeden drugiego, szybkie biegi w kółko, a gdy to się źle wykonywało to jeszcze większe represje stosowano. Był taki blokowy z 3-go bloku silny i mocny, że gdy wezwał do siebie to nie każdy zniósł jego bicie i musiał potem odleżeć na rewirze. Drugiego dnia po przyjeździe z fabryki wszystkich wezwano na plac apelowy, ustawiono w dwuszeregu i pokazano nam współtowarzyszy chodzących za ogrodzeniem gdzie był bunkier z transparentem na którym napis głosił iż nie warto uciekać gdyż i tak z powrotem tu się trafi. Oprócz transparentu miał założoną pętlę na szyi do której przymocowane były 2-wie ławki jedna na piersiach druga na plecach. Łokcie były oparte o ławkę, która z kolei zaciskała szyję, co powodowało samoistną śmierć przez uduszenie, a wszystkich którzy stali w szeregu i na to się patrzyli, tak długo musieli stać na baczność aż skazaniec zmarł. Trwało to do późnego wieczora. Do pracy w fabryce chodziłem tylko do dnia 7 listopada, dalej nie mogłem bo miałem ogromnie spuchnięte nogi, tak że nie mieściły się w największe trepy. Żeby stawić się na apel i stać w szeregu musiałem być boso.

Przy pomocy lekarza dnia 8 listopada skierowano mnie ponownie na rewir, bowiem poza obrzękiem nóg lekarz stwierdził zapalenie opłucnej. Dnia 25 listopada ze względu na moje bezpieczeństwo /na salach leżeli chorzy na zakaźne choroby/ lekarz na wolnym powietrzu usunął mi strzykawką z opłucnej 270 cm żółtawego płynu. Na głównej sali leżałem jeszcze do 8 grudnia gdyż czekano na wynik mojej płwociny. Wynik przysłano z Oświęcimia z wynikiem Koch + i wtedy przeniesiono mnie na małą salkę gdzie stały na jednej ścianie 4 jednopiętrowe drewniane łóżka, graniczącą ze ścianą szewców, a za przeciwną ścianą to był pokój lekarzy. Na ścianie szewców w samym górnym lewym rogu gdzie ja spałem był otwór wentylacyjny 10x10 cm, który zarazem służył nam jako podsłuch co się dzieje na terenie obozu jak również i za ścianą. Nasz pokój był pokojem wydzielonym od 2-ch innych pokoi i zamknięty na klucz a tylko w drzwiach była ruchoma zamykana przystawka służąca do podawania nam pożywienia. Na salce było nas ośmiu. Lekarz zlecił mi bym codziennie na kartach chorych wpisywał zmierzoną u wszystkich temperaturę i stolec rano i wieczorem w godzinach o 6.00 i 18.00. Stan wszystkich chorych był katastrofalny.

Pamiętam śmierć młodego 20-sto letniego poznaniaka, który w trzecim dniu pobytu w tym pokoju zmarł, z powodu silnego krwotoku. Zimne okłady na klatkę piersiową i wypicie rozpuszczonej soli - nie pomogły. Po tym w niedługim czasie zmarł też młody chłopak Bochenek, pochodził z Bochni. Za spluwaczki służyły nam pudełka po konserwach z roztworem lizolu. Około 15 grudnia mieliśmy wizytację trzech lekarzy esesmanów, którym towarzyszyli dwaj nasi lekarze.

Następnego dnia po południu, wszystkich chorych całego rewiru przeprowadzono na blok 3-ci pod pretekstem przeprowadzenia dezyn-

fekcji. Wieczorem prawie siłą wprowadzono nas do tych pomieszczeń z powrotem, mimo że były tam jeszcze opary dymu gryzącego. Okien nie wolno było otwierać bo były szczelnie oklejone. W tej sytuacji położenie się na łóżkach było konieczne i zresztą uważaliśmy że pod kocem się wytrzyma. Jednak było to złudzenie bo koce były również przesycone gryzącym dymem. Jedynym naszym ratunkiem był ten wentylator do pomieszczeń szewców. I tak na zmianę korzystaliśmy z powietrza płynącego przez wentylator. Z braku czystego powietrza trzech koledzy mieli krwotoki, które spowodowały u nich śmierć. Dopiero po południu zezwolono otworzyć okno. Na miejsce zmarłych kolegów, których pochowano prawie pod naszymi oknami przy płocie z drutu kolczastego, wprowadzono na ich miejsce nowych gruzlików. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy przy choince i śpiewaliśmy pieśni o Ojczyźnie.

W styczniu zauważyliśmy jakiś dziwny niepokój u naszych władców obozowych. Wydano ogłoszenie, że wolno nam pisać do rodziny tylko jedną kartę na dwa miesiące. Także i od rodziny możemy otrzymać tylko jeden list. Ogłoszenie to dało nam wiele do myślenia i niepokoju. W umysłach naszych było złudzenie do upragnionej wolności mimo iż byliśmy schorowani i strasznie wyczerpani fizycznie.

W dniu 16 grudnia otrzymałem 1-szy zastrzyk calcum chloratum. Dalszych 8 zastrzyków dostawałem co drugi dzień, a w miesiącu lutym dano mi 9 zastrzyków. Ostatni zastrzyk dostałem 9 lutego, a 10 lutego oczekiwałem wraz z innymi kolegami na przybycie lekarza. Zastanowiło nas, że coś musiało zajść, bo nagle nastąpiła cisza w pokojach obok u szewców i lekarzy.

Wieczorem, a zwłaszcza nocą słychać było odległe strzały i przez okna widać było łuny. Wśród nas chorych obozowiczów zapanowała konsternacja i zastanawialiśmy się co będzie dalej z nami. Jeden z współtowarzyszy miał zaawansowaną gangrenę prawego uda. Byliśmy bez jedzenia i picia oraz żadnej opieki do 15 lub 16 lutego. Nikt z nas nie miał odwagi wyjść z baraku bojąc się esesmanów. Odgłosy strzałów armatnich i lżejszej broni słychać było coraz bardziej.

W dniu 16 lub 17 lutego rano wyrzekałem z baraku w kierunku bramy i zauważyłem że poza jej terenem chodzi wojskowy w mundurze innego koloru od niemieckiego munduru. Powiadomiłem o tym współtowarzyszy, ale oni zabronili mi wychodzić z baraku gdyż sądzili, że nie rozpoznałem koloru mundurów. Po uspokojeniu się kolegów ostrożnie i cicho otworzyłem okno i ujrzałem czołg oraz stojącego żołnierza między barakami esesmanów i teraz stwierdziłem, że to nie jest żołnierz niemiecki. Udałem się cichutko w tym kierunku i doszedłem do samej siatki. Żołnierz mnie nie zauważył i napewno nie słyszał jak podchodziłem ponieważ byłem w hełmie i na uszach miał słuchawki. Klęcząc tak przy siatce odezwałem się w języku trochę rosyjskim, trochę polskim - na to żołnierz w tym momencie odwrócił się i wycelował do mnie pepeszę. Ja płacząc z radości mówiąc z łkaniem łamaną ruszczyzną /dobrze że zrozumiał/, że to jest obóz koncentracyjny i że w baraku jest nas jeszcze 16 lub 17-stu. Na to kazał mi poczekać i nie ruszać się z miejsca, po czym wszedł do czołgu i wjechał przez bramę na teren obozu. Po tym przyszedł do mnie, wziął pod ramię i kazał prowadzić do baraku gdzie są moi koledzy. Koledzy widząc moją nieobecność i że długo nie wracam zeszli do przedsiionka baraku i w oczekiwaniu przypuszczali iż stanie się z nimi coś najgorszego.

Kiedy otworzyłem drzwi i powiedziałem im, że to żołnierz rosyjski i że mamy już wolność nastąpiła wielka nieskończona radość i chęć do życia.

Dla jednego z kolegów okazało się to tragiczne. Po wypowiedze-

niu przeze mnie radosnej wieści kolega ten nagle odezwał się po rosyjsku. W tym momencie żołnierz nagle strzelił do niego z pistoletu, kładąc go trupem na miejscu. Ja zwróciłem się do żołnierza i pytałem go dlaczego to zrobił? na to żołnierz odpowiedział, że to jest ukraińiec, a do nas powiedział, że jesteśmy wolni. Mimo tak smutnego wypadku, zapanowała w naszych sercach radość i płacząc składaliśmy podziękowanie żołnierzowi za wyzwolenie. Kazał nam czekać i powiedział, że powiadomi swoich przełożonych i żeby przysłać nam kuchnię. Tak więc mając już wolność z utęsknieniem oczekiwaliśmy na polową kuchnię, by coś zjeść i nabrać siły do drogi.

W niedługim czasie kuchnia została przysłana. Do zjedzenia był kapuśniak z wieprzowiną. Otrzymaliśmy na drogę chleb i czarną kawę. Nie dla wszystkich jednak był szczęśliwy dzień wolności. Niektórzy nie mogli się powstrzymać i w skutek przejedzenia doznawali skrętu kiszek i w boleściach umierali. Ja i mój kolega Zimerman Józef uniknęliśmy tych przykrych skutków, bowiem zachowaliśmy wstrzemięźliwość i na początek, po tak długim i złym odżywianiu zjedliśmy kawałek chleba i popili czarnej kawy.

Zimerman postarał się o dwa rowery i opierając się na nich dotarliśmy do pobliskiej wioski. Były tam oddziały żołnierzy rosyjskich, którzy zabrali nas do ciężarowego samochodu i dowieźli do Legnicy gdzie pozostaliśmy, a oddziały wojskowe odjechały do Wrocławia. W drodze za Legnicą spotkaliśmy Wojsko Polskie. Jeden z oficerów proponował nam, że umieści nas w szpitalu. My jednak pragnąc być jak najprędzej w Ojczyźnie - podziękowaliśmy za tą miłą przysługę.

Dalej po drodze trafił się nam wóz konny, którego woźnica dowoził amunicję do Wrocławia i wracał do domu, którym dojechaliśmy do Częstochowy. Udaliśmy się na dworzec kolejowy i akurat mieliśmy pociąg jadący do Łodzi. Był on wprawdzie bardzo przepełniony podróżnymi wracającymi do swych stron rodzinnych, tak jak i my i wraz z kolegą prawie na stopniach wagonu dojechaliśmy do Łodzi. W Łodzi udaliśmy się do kolegi niedaleko mieszkającego na ulicy Cegielnianej. Wielka była radość w jego domu z powodu naszego powrotu. Ja jednak jeszcze nie byłem całkiem szczęśliwy, bowiem czekała mnie jeszcze droga do Poddębic, by dotrzeć do mojej rodziny i narzeczonej.

Na drugi dzień wstąpiłem do tego domu gdzie się ukrywałem i aresztowane mnie, by powiadomić tą rodzinę o moim powrocie. Znowu była radość tym większa, że spotkałem tam kolegę, który również wrócił z Oświęcimia. Po południu udałem się do Poddębic, dokąd dotarłem furmanką późnym wieczorem. Oczywiście wielka była radość z mego szczęśliwego powrotu z obozu, jednak było i przygnębienie z powodu zbyt słabego zdrowia straconego podczas tych ciężkich dni obozowych. Mimo to czułem się szczęśliwy bo byłem w Ojczystej ziemi wyzwolonej od hitlerowskiego okupanta.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.8.3.3.

